

Tomasz Żyro: John Stuart Mill – o użytecznej wolności i ohydnym poddaństwie

Millowska rozumna monada ma stale kłopot z tym, co ponadjednostkowe, zwłaszcza ze społeczeństwem jako zbiorem monad wyposażonych we własne opinie. Społeczeństwo jest najlepiej zorganizowane wówczas, gdy rządzi nim zasady, które nie zakładają żadnej koncepcji dobra. I tak prostą drogą wkraczamy w demokrację proceduralną, w której osoba jest przedmiotem – małym trybikiem w produkowaniu największej sumy szczęścia – pisze Tomasz Żyro w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Mill. Liberalizm stosowany”.

Popularność myśli Johna Stuarta Milla jest zastanawiająca. Nie jest chyba możliwe rozsądzenie, na ile przyczynia się do tego ekspansja cywilizacji anglosaskiej i jej długa dominacja, a jaki udział ma w niej filozofia polityki samego Milla. Warto przypomnieć, że J.S.Mill nie cieszył się taką popularnością na przełomie wieków XIX i XX. Autorzy tacy jak Thomas Hill Green czy Leonard Hobhouse szukali inspiracji raczej u Hegła niż u Milla czy Locke'a. Widoczny był wpływ idealizmu niemieckiego, który sprawił, że liberałowie zaczęli miłować państwo. Tak więc otwierające rozważania *O wolności* stwierdzenie Milla, że „Walka między wolnością a władzą jest najbardziej uderzającym rysem najwcześniejszych znanych nam okresów władzy, a w szczególności Grecji, Rzymu i Anglii”, zostaje podważone przez nową generację liberalnych etatystów. A przy okazji wyłania się koncepcja wolności pozytywnej. Skądinąd sam Mill jest emblematycznym przykładem przejścia na pozycje nowej opinii liberalnej.

Dług wdzięczności angielskich liberałów wobec myśli niemieckiej jest zaskakująco duży i może budzić zdziwienie. W przypadku Milla dotyczy inspiracji i imitacji, jakie wyniósł z lektury dzieła Wilhelma von Humboldta *Ideen zu einem Versuch die Grenzen der Wirksamkeit des Staates zu bestimmen*. Wprawdzie w eseju *O wolności* wielokrotnie odwołuje się do tego dzieła, to jednak dług intelektualny jest daleko bardziej oczywisty. Jest to o tyle zaskakujące, że myśl Millowska sytuuje się w innej niż Kantowska tradycji liberalnej, to znaczy w obrębie utylitaryzmu. Te inspiracje budzą zdziwienie tym większe, że niemiecka myśl liberalna (Kant, von Humboldt, Hegel) powstaje w państwie pruskim, ucieleśniającym zasadę monarchii absolutnej. Idee liberalne jako wyraz sprzeciwu wobec absolutyzmu, a zarazem wyrażające marzenie o porządku liberalnym, były możliwe do zrealizowania – jak to zauważa Peter Gooch przy okazji analizy twórczości Humboldta – jedynie „w kręgu jego znajomych”. Jest to marzenie, któremu kres na ziemiach niemieckich kładzie klęska Parlamentu Frankfurckiego. W tej sytuacji ziemią obiecaną liberałów stanie się Zjednoczone Królestwo jako wzór państwa liberalnego. Dla wielu z nich podróż do Anglii stanie się obowiązkiem obywatelskim.

Dług wdzięczności angielskich liberałów wobec myśli niemieckiej jest zaskakująco duży i może budzić zdziwienie

I tak liberalizm wprzęga się w dialektyczny związek z absolutyzmem. I to podwójny: zarówno w sferze historii politycznej, jak i

historii intelektualnej. Zazwyczaj uwaga badaczy myśli liberalnej skoncentrowana jest na problemie wolności definiowanej w reakcji na

praktykę polityczną rządów przedstawianych jako despotyczne. Liberałowie poszukiwać będą uznania, wpisując się w szlachetną tradycję rozprawy z tyranią.

Przy okazji rocznicy okrągłej rocznicy śmierci Milla młodszego, warto zajrzeć w strefę cienia myśli liberalnej. John Stuart to przecież myśliciel „kanoniczny” w paradoksalnym przecież konstytuowaniu się liberalizmu jako specyficznej tradycji. Paradoks wynika – jak to ukazał wnikliwie Alasdair MacIntyre – z firmowanej przez liberałów zasady otwartości. Petryfikacja idei liberalnych w doktrynę, a następnie w tradycję, wymagałaby oddzielnego komentarza. I to tradycji obarczonej dwoma wadami: uznaniem niekonkluzywności sporów oraz niemożliwości ustalenia kryteriów racjonalności.

Logika debaty i deliberacji budowana jest na założeniu, że jej najważniejszym celem jest dojście do jak najszerszego porozumienia, które pozwoli na skuteczne podejmowanie praktycznych decyzji. Zamiast uznać je za wzmocnienie własnych wniosków albo jako przyczynek do ostrego i konstruktywnego sporu, albo wymogu rozumnej wypowiedzi, wielu współczesnych liberałów dochodzi do wniosku, że właściwym sposobem reakcji jest tymczasowe lub wręcz trwałe wykluczenie rozmówcy z konwersacji. Znużeni swoją otwartością na poglądy Innego, liberałowie zaczynają utwierdzać się w twardej postawie wobec osób głoszących odmienne poglądy. Co więcej, jest rzeczą oczywistą, że „posługiwanie się sloganami, skracanie czasu koncentracji odbiorców i manipulacja uczuciami dokonuje się obecnie w mediach, w debatach politycznych i w reklamie z niezwykłą fachowością. [...] Retoryczne tryby racjonalnego dociekania i dyskusji są głęboko niezgodne z retorycznymi trybami dominującej kultury

politycznej i komercyjnej”. Warto wziąć pod uwagę ten tryb argumentacji zaproponowany przez MacIntyre’a w eseju *Tolerancja i dobra konfliktu*.

Sam typ racjonalności zaproponowany przez Milla ma wątpliwe przesłanki, zarówno w życiu prywatnym, jak i publicznym. W myśl zasady najwyższego szczęścia, „gdy bierzemy pod uwagę nasze dobro [...] jest istnienie jak najbardziej wolne od cierpień i jak najbardziej bogate w przyjemności, zarówno pod względem jakościowym, jak i ilościowym, przy czym o jakości tych ostatnich i o ważeniu jej na szali decyduje głos tych, którzy są do tych porównań najbardziej powołani, zarówno przez swój zasób doświadczeń jak przez swoje wdrożenie do samoobserwacji” (Utylitaryzm, s. 21). Kto ma dokonywać owego ważenia i rozważenia sumy szczęścia? Można rzec, że w dzisiejszym świecie najlepiej tego ważenia dokonują specjaliści od PR, którzy wiedzą najwięcej na temat przyjemności. Cierpienie jako najbardziej konstytutywne doświadczenie człowieka, aby mógł widzieć siebie w odpowiednich proporcjach, zostaje zastąpione przez wezwanie do kolekcjonowania różnych rodzajów przyjemności. I ostatecznie jednostka kończy jako konsument wrażeń i dóbr. A wszystko wedle haseł nowego humanizmu: autonomii, samorozwoju, postępu.

Wiara liberałów w opinię, także w sferze publicznej, jest zaskakująco naiwna, jak wykazał Walter Lippmann. Zwłaszcza dzisiaj w erze panowania GAFA okazuje się fantomem. Miast deliberacji mamy do czynienia z infozgiełkiem, emotywiizmem i ogólną dezorientacją. Pozostawiam czytelnikom Milla do rozważenia jego wiarę w dyskusję, z której wyłaniać się mają prawdziwe ustalenia odnośnie kwestii publicznych.

Ten rodzaj wiary w coś: postęp, opinię, racjonalność (dodajmy specyficzną, z której nawet John Rawls tłumaczy się w jednym ze swoich wykładów w *Liberalizmie politycznym*), wynika ze stałego poszukiwania *ersatzu* wiary. Zamiast głębokiego doświadczenia transcendencji liberał ze szkoły Milla poszukuje potwierdzenia immanencji. Można na wiele sposobów rozpisać metastazy dokonywane przez liberałów.

*Mill występuje przeciw
demokracji większościowej, w
nadziei na racjonalne
mniejszości*

W tej sytuacji „demokracja racjonalna” Milla oparta na określonej teorii reprezentacji (do parlamentu w „prawdziwej

demokracji” trafiają przedstawiciele większości, jak i przedstawiciele wszystkich istotnych ugrupowań politycznych i zwolennicy wszelkich istotnych programów społecznych) okazuje się wydmuszką. Mill występuje przeciw demokracji większościowej, w nadziei na racjonalne mniejszości. Co jednak, jeśli w ramach emotywistycznego sporu, głos decydujący mają grupy najbardziej hałaśliwe?

Pamiętajmy, że u podstaw tego zjawiska politycznego, leży pewnego rodzaju metafizyczna koncepcja indywidualności oparta na racjonalnej woli, której podstawowym narzędziem jest wolność wyboru. Jak zauważył Pierre Manent, problem woli wywołany przez Machiavellego, potem Hobbesa, stanął w centrum historii nowoczesnej filozofii. I wreszcie jako ostatecznie sformułowany problem w postaci woli ludzkiej (u Milla przybiera postać postulatu samorealizacji), został

przeciwstawiony Kościołowi i chrześcijaństwu oraz chrześcijańskiemu sposobowi rozumienia świata. Nieprzypadkowo u historyków idei pojawiają się paralele pomiędzy poglądami Milla a Fryderyka Nietzschego. Do tego stopnia, że zarówno Mill, jak i Nietzsche uczynili z woli podstawowy oręż walki z chrześcijaństwem. Więcej, punkt wyjścia jest zaskakująco podobny: „Obawiam się, że usiłowanie kształtowania umysłu i uczuć na wyłącznie religijną modłę [...] da nam w rezultacie, a nawet już teraz, niski, nędzny, służalczy typ charakteru, który choćby się podawał bez zastrzeżeń za Najwyższą Wolę, nie jest zdolny wznieść się do zrozumienia i darzenia sympatią pojęcia Najwyższej Dobroci” (*O wolności*, s. 189-190).

Nietzsche uczyni z chrześcijanina ostatniego człowieka, Millowi w trakcie pisania eseju *O wolności* nieustannie towarzyszy wiara w uformowanie nowego człowieka, nieobciążonego tradycją i przesądami. W przypadku Milla atak na chrześcijaństwo (właściwie możemy mówić, że tworzy swoiste symulakrum chrześcijaństwa), wpisany jest, co znamienne, w rozważania na temat wolności. O czym z dużą maestrią pisze John Hamburger, który pokazuje też jak przy pomocy koncepcji wolności można skonstruować rozbudowany system kontroli.

Ten sposób argumentowania będzie miał znaczące konsekwencje w dalszej debacie dotyczącej wolności. Liberałowie, nie tylko za sprawą nazwy, w historii myśli politycznej, ale też w sferze publicznej, sytuują się jako eksperci od wolności. Z czasem uda im się ukształtować opinię, że są jedynymi od niej specjalistami. I ta fałszywa obietnica wyzwolenia znajduje już wyraz w *Rozważaniach wstępnych* eseju „Wszystko, co nadaje wartość egzystencji człowieka, zależy od nałożenia hamulca na czyny innych ludzi. Pewne reguły muszą być narzucone, najpierw przez prawo, a w wielu rzeczach, które nie nadają

się do prawnego traktowania, przez opinię” (O wolności, s. 123). Kilka stron później dowiadujemy się, że jest to doktryna ludzi dojrzałych. „W tej części, która dotyczy wyłącznie jego samego, jest absolutnie niezależny; ma suwerenną władzę nad sobą, nad swoim ciałem i umysłem” (s. 129). Parafrazując spostrzeżenie Goocha, możemy stwierdzić, że jest to formuła wolności, której praktyka długo ograniczała się do *ménage à trois* małżeństwa Taylorów i samego Milla.

Liberałowie są znacząco inspirowani przez nominalizm. Toteż wolność ma nade wszystko wymiar indywidualny. Suwerenność jednostki jest znakiem jej wolności. Indywidualność wiąże się z problemem woli i wyraża się w postulacie autonomii bądź samorealizacji. Cel życia jednostki nie istnieje, są cele, ale i tak najważniejsza jest możliwość dokonywania wyboru. Oczywiście ten akt nie ma nic wspólnego z *facultas voluntatis* św. Tomasza z Akwinu, ponieważ jaźń jest czymś nadrzędnym wobec swoich celów, co oznacza, że słuszność/użyteczność ma priorytet względem dobra. Jak wywodzą komunitarianie, w argumentacji liberalnej jaźń to byt uprzedni i niezależny względem zamierzeń i celów. I żaden plan mojego życia nie jest na tyle istotny, aby jego porzucenie mogło postawić pod znakiem zapytania osobową tożsamość. Mill jednak w *Utylitaryzmie* idzie inną drogą rozumowania i wyraźnie zaznacza, że celem ostatecznym jest najwyższe szczęście. Cyzeluje Benthamowską „buchalterię moralności”. Niemniej jednak znamieną jest podmiana *causa finalis* – tutaj jest nią jednostkowe szczęście oraz największa suma szczęścia. Jednostka (już nie osoba) jest kowalem swojego szczęścia. Pozostaje pytanie: Kto może poszczycić się znajomością sztuki kowalstwa? Kto ma prawo jej nauczać? To oczywiście aluzja do Milla koncepcji ludzi cywilizowanych.

Koncepcja nieuwarunkowanej jaźni wraz z inspirowaną przez nią etyką roztacza przed nami wizję wyzwolenia. Ludzki podmiot jest suwerenem i jedynym twórcą moralnych znaczeń, ale też samorodnym źródłem prawomocnych roszczeń. Łączy tę koncepcję liberalną określony sposób pojmowania osoby, określony sposób pojmowania podmiotu moralnego.

Ta etyka oparta na obietnicy wyzwolonej z więzów jaźni otwiera drogę emancypacji. Mill konstruuje pewien podmiot autonomicznej woli, który jest propozycją wyzwolenia jednostki konkurencyjną wobec Kantowskiej. Podstawy prawa moralnego można znaleźć w podmiocie zdolnym objawiać autonomiczną wolę. Nadanie regulatywnej mocy którejkolwiek z opinii oznaczałoby narzucanie jednym ludziom opinii innych. Postulat samostanowienia, wynikający z indywidualnej suwerenności, prowadzi do sytuacji, w której jednostka jest przekonana, że prawo moralne nadajemy sobie sami: my go nie odnajdujemy, my go wręcz chcemy tworzyć dla swojej wygody.

Dużo by pisać o tym, jak liberalnie konstruowany podmiot umyka spod władzy natury. Owoce tego rozpropagowanego postulatu obserwujemy dzisiaj zwłaszcza w jakoby istniejącej wolności wyboru płci. Bardziej ukąszeni Nietzscheańsko uznają nawet, że podmiotowość jest przeszkodą w hodowli nowej rasy panów. Słowem: dzisiaj kosztujemy gorzkich owoców radykalnego indywidualizmu. Zwłaszcza w kulturze indywidualizm ekspresjonistyczny znalazł swoich smakoszy, o czym szerzej pisze Charles Taylor w *Źródłach podmiotowości*.

*Dzisiaj kosztujemy gorzkich
owoców radykalnego
indywidualizmu*

W jaki sposób taka
koncepcja prowadzi
do rozumienia
polityczności?
Millowska rozumna
monada ma stale

kłopot z tym, co ponadjednostkowe, zwłaszcza ze społeczeństwem jako zbiorem monad wyposażonych we własne opinie. Społeczeństwo jest najlepiej zorganizowane wówczas, gdy rządzą nim zasady, które nie zakładają żadnej koncepcji dobra. I tak prostą drogą wkraczamy w demokrację proceduralną, w której osoba jest przedmiotem – małym trybikiem w produkowaniu największej sumy szczęścia, zaś „sprawiedliwość pozostaje właściwą nazwą dla pewnych społecznych użyteczności, które są znacznie bardziej doniosłe i stąd bardziej bezwzględne i imperatywne niż jakiegokolwiek inne użyteczności (w indywidualnych bowiem wypadkach sprawiedliwość może innym wymogom społecznym ustępować)”, jak kończy Mill swoje rozważania o utilitaryzmie. Swoiste uczucie związane z pojęciem sprawiedliwości wyposażone jest w cały arsenał nakazów i surowych sankcji.

Mill nie eksponuje praw podmiotowych i wielokrotnie ponawia próbę równoważenia uprawnień jednostki i jej zobowiązań. Liberalny podmiot, pozbawiony rozszerzonego samorozumienia, kształtujące wspólne życie, skazany jest na wahanie pomiędzy izolacją a społecznym uwikłaniem. Millowska koncepcja człowieka zawiera liczne zobowiązania ideologiczne: jako istota postępową rewiduje (nieustannie) swoje poglądy na dowolny temat. Żyje w atmosferze ciągłego wątplenia. A zarazem budzi w jednostce nierealną nadzieję osobistego spełnienia. Ta dziura w ludzkiej *psyche*, wyrażająca się w stałym uczuciu niespełnienia, leży u podstaw polityki obietnicy, która

znajduje wyraz w Państwie Dobrobytu. Jednak wysiłki nim zawiadujących muszą nieuchronnie rozczarowywać. Rozczarowanie przybiera postać nienasycenia. Rozczarowanie rodzi również wrogość pomiędzy bardziej i mniej uprzywilejowanymi. Podstawowa zasada największej sumy szczęścia dla największej liczby osób ten problem jedynie zaostrza (o czym pisze wielu krytyków utilitaryzmu). Roszczenia i polityka obietnicy tak długo nie tworzą mieszanki wybuchowej, jak długo zapewniony jest rozwój ekonomiczny. A i tak grupy uprzywilejowane podają w wątpliwość zasadę współpracy opartą na zaufaniu. Państwo opiekuńcze musi zatrudniać rozbudowany aparat urzędniczy, posiadający uprawnienia decyzyjne, aby sprostać rozlicznym zadaniom i oczekiwaniom. Okazuje się, że gwarantem postępu staje się wszechobecna biurokracja. Jej rosnąca racja istnienia przekształca społeczeństwo w sposób znaczący. W społeczeństwie biurokratycznym prawo wyraża się nade wszystko przez procedury. Skoro monada monad jest tak spluralizowana, to oczywista staje się koncepcja „cienkiej demokracji” z jasno sformułowanym przyzwoleniem na procedury (demokratyczne). Koło się zamyka.

Czy gdyby sposobem Edwarda Bellamy’ego przenieść Johna Stuarta Milla do naszych czasów, doznałby wielkiego wstrząsu? Ze swojego ujęcia człowieka jako racjonalnej jednostki wyprowadził przecież obronę państwa minimalnego. Kiedy jednak wkroczył w kwestie socjalne, zaczął tracić argumenty w tej „opinii”. Jednym słowem: Harriet Taylor była bardziej przekonująca aniżeli Wilhelm von Humboldt. To jeszcze jeden liberał, który zagłodził swoje uczucia, do czego przyznał się w swojej *Autobiografii*. I podobnie jak Madame de Staël wyciągnął z tego ciekawe wnioski dotyczące empatii. Czy to lepsza formuła aniżeli egoizm *homo oeconomicus*, rozsądzi sam czytelnik.

prof. Tomasz Żyro

Foto: House of Commons – Sir George Hayter / Domena publiczna

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
